



WIECZORY RODZINNE



FIGURA A. MICKIEWICZA NA POMNIKU.

Sto lat temu, to jest 24 grudnia 1798 r. w Zaosiu pod Nowogródkiem, urodził się największy nasz poeta Adam Mickiewicz, dla uczczenia tej wielkopomnej rocznicy, wzniesiony został w Warszawie na ulicy Krakowskie-Przedmieście ze składek publicznych, w których i czytelnicy Wieczorów liczny przyjęli udział, pomnik wieszczą z brązu, według modelu Cypryana Godebskiego. Odświeżenie tego pomnika odbyło się w Wigilią dnia 24 grudnia 1898 r. o godz. 10-ej z rana. Wielki wieszcz nasz stanął przed nami ze spizu ulany, jak go widzimy na pierwszej stronnicy. Szczegóły o tej rocznicy podamy w następnych numerach Wieczorów.

W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby.”

(Dokończenie).

XIV. Z powrotem.

Po oznaczeniu w ten sposób położenia bieguna północnego podróżni poświęcili dwa tygodnie czasu na zwiedzenie wnętrza wyspy i opłynięcie jej brzegów, poczem zatrzymali się w przystani, nazwanej przez nich portem Leithbridge'a. Zarówno lasy jak wody tego północnego łądu przepełnione były zwierzyną i różnego rodzaju rybami, z których jedne dostarczały smacznego pożywienia, a drugie kosztownych futer, dla nabycia których Europejczycy, z wyjątkiem profesora, byli ciągle zajęci rybołówstwem lub polowaniem; przez ten czas Karliński, uzbrojony w strzelbę dla bezpieczeństwa, z młotkiem w rękę i puszką na plecach, do zbierania ziół i kamieni czynił codzienne wycieczki w celu dokonywania badań z dziedziny mineralogii, botaniki i geologii.

Przy tych zajęciach szybko wszystkim ubiegały ostatnie dni krótkiego, podbiegunowego lata; słońce coraz niżej świeciło, temperatura opadała stopniowo, ziemia twardniała od mrozu, lśniący jak srebro szron osiadł na roślinach, więc podróżni posunęli „Latającą Rybę” o kilka mil od brzegu, aby lepiej widzieć ostatnie promienie słoneczne, niknące w południowej stronie widnokregu.

Gęste chmury, gromadzące się na niebie, zrazu budziły obawę, że profesor i jego towarzysze pozbawieni będą upragnionego widoku, w ostatniej jednak chwili chmury owe rozstały się, tworząc fantastyczne grupy, ozłocone światłem zachodzącego słońca, którego rąbek tylko był widoczny w południe i które niebawem skryło się całkowicie za krańce horyzontu. Skończył się dzień podbiegunowy, a zaczęła się noc sześć miesięcy trwająca.

Nie należy przypuszczać wszelako, iżby grube ciemności w jednej chwili zaległy dokoła; czas jakiś panował zmrok zwiększający się stopniowo i dopiero ósmego dnia po zachodzie słońca ciemności nocne świat tamtejszy ogarnęły wszechwładnie.

Od tej chwili lodowata dłoń zimy spoczęła na pięknej, podbiegunowej krainie, oszczędzając jej wszelako burz i ostrego zimna, przypadających w udziale mniej szczęśliwym stronom lodowym, a dodając nowych, nieznanych powabów.

W pierwszych tygodniach po zniknięciu słońca pogoda była mstałą; po niebie przeciągały coraz ciemniejsze chmury i dnia jednego, gdy podróżni wyszli na pokład, znaleźli na nim na trzy cale śniegu a ciemność tak była wielką, że o parę kroków nic widzieć nie mogli.

Taki czas bez przerwy trwał dui cztery, trzymając podróżnych na uwięzi w kajutach, gdzie zajęci byli klasyfikowaniem poczynionych zbiorów do historii naturalnej, wyprawianiem cennych skór zwierząt

Piątego dnia, gdy śnieg przestał padać, wyszli znowu na pokład; tam oczom ich czarujący przedstawił się widok. Chmury ustąpiły, milion gwiazd iskrzyło się w górze, na lekko zaróżowionem tle nieba, krąg jaskrawej zorzy północnej przechodził z kolei w barwy purpury, lazuru, zieleni, żółta i t. d. Olsniewające blaskiem różnokolorowe promienie

w ciągłym ruchu, ściągaly się do środka lub wydłużaly do granic widnokregu. Wspaniałe to zjawisko trwało całą godzinę, a przy jego świetle lądy i morza okoliczne nabierały nieopisanego uroku. Zwolna owe barwy świetlane blednąc zaczęły, przygasł blask ruchomych promieni, które stawały się coraz krótsze, aż wreszcie zniknęły zupełnie, ustępując miejsca srebrystemu sierpowi księżycy, rzucającemu łagodne światło na śniegiem zasłane przestrzenie i nadającemu krajobrazowi północnej strefy tajemniczy powab, podniesiony głęboką ciszą.

Wśród tych zjawisk podbiegunowego świata upłynął podróżnym cały miesiąc, w czasie którego czynili wycieczki myśliwskie przy świetle zorzy północnej. Pod koniec października temperatura tak dalece się obniżyła, że morze dokoła brzegów „ziemi Elfinstona” zamarzło, żegluga napowietrzna „Latającej Ryby” mogła również być utrudniona cięższym ładunkiem w skutek powiększających się zbiorów; względy te znagliły naszych znajomych do porzucenia wreszcie stron podbiegunowych.

Postanowili zatem wrócić do Anglii dla odwiezienia tam cennych zbiorów swoich; w tym celu podnieśli w powietrze statek do wysokości 10,000 stóp. i ster jego poruczyli Mildmay'owi. Szybkość jazdy wynosiła dwieście mil angielskich na godzinę, ponieważ zaś profesor wyrachował, że ujrzą znowu słońce między 79 a 78 stopniem szerokości geograficznej, spodziewali się dojechać tam w cztery godziny i trzydzieści pięć i pół minut. Z przystani Leithbridge, leżącej na 88° 0, szer. geogr. Wyruszyli o 9-ej rano, mieli zatem nadzieję powitać promienie słoneczne o trzy kwadransy na drugą, a porucznik czuwał nieustannie przy okienku, iżby towarzyszy uprzedzić w porę o chwili ukazania się słońca. Dla uniknięcia zbyt silnego prądu wiatru, mogącego opóźnić żeglugę „Latającej Ryby” lub przeciwny nadać jej kierunek, podniesiono statek do 10,000 stóp, to jest w warstwy powietrza najspokojniejszej. Z uderzeniem godziny 1-ej na zegarze, Mildmay zagasił lampę w kajucie i bacznie rozglądał się zaczął dokoła; nad głową i u stóp swoich widział tylko kłęby chmur oświecone migotliwym światłem gwiazd w górze. Niebawem jednak zauważył, jak niebo blednąc zaczyna od strony południa, a po chwili nie miał już wątpliwości, że bledszy ten odcień zapowiadał niedaleki brzask dzienny; zaraz też uderzył w dzwon sygnałowy, na odgłos którego przybiegli śpiesznie trzej towarzysze, aby nie stracić widoku wschodzącej jutrzenki.

Jasność występująca od południa zwolna obejmowała coraz szerszą przestrzeń; blask gwiazd przygasał, znikaly one z przed oczu, a zaróżowione niebo przybierało kolejno barwy pomarańczowe i złote; w chwili, gdy zegar wskazywał 35 minut na 2-ą krąg białego światła ukazał się na niebie, promienie słoneczne wychylać się zaczęły i niebawem słońce zaświeciło w całym blasku, nadając połysk opalu chmurom płynącym w dole.

Ten nagły powrót do jasności dziennej silne wrażeni

wywarł na podróżnych; sami nie zdawali sobie dotąd sprawy, jak dalece na ich usposobienie oddziaływała ciemność od miesiąca trwającej nocy; przekonano ich o tem dopiero radosne, orzeźwiający wrazenie, wywołane ukazaniem się dobroczynnych promieni słonecznych, jak gdyby uszli szczęśliwie grożącego im niebezpieczeństwa cieszyli się, weselili, ściskali za ręce, a żartobliwe słowo pobudzało ich do głośnego śmiechu.

Te objawy niezwykle dobrego humoru przerwał obojętny na wszystko Jerzy, oznajmiając, że śniadanie podane.

Podróżni zeszli do sali jadalnej, spokojni o bieg statku, wiedząc, że najbliższy ląd stanowiły wyspy Szetlandy o tysiąc mil angielskich odległe.

Po posiłku, wróciwszy do kajuty sterniczej, towarzysze gawędzili czas dłuższy, wspominając doznane w podróży przygody i tworząc plany dalszych wycieczek; zamierzali bowiem tylko na czas krótki zawiązać do Londynu.

Pragnęli przez czas nieobecności swojej na statku ukryć go przed wzrokiem ludzkim, lecz okręt tak osobliwej budowy nie mógłby ująć ogólnej uwagi, gdyby z nim zawinęli do którego z portów. Postanowili tedy „Latającą Rybę” pogrążyć w morzu w pobliżu wyspy Wight i na wykonanie tego zamiaru obrano godzinę nocną; sami zaś z drogocennymi zbiorami swemi mieli na dwóch łodziach dopłynąć do Portsmouth.

Noc była ciemną, wiatr dął północno wschodni i deszcz padał chwilami, gdy podróżni dla dokładniejszego zbadania położenia, spuściwszy się o tysiąc stóp nad poziom morza, dojrżeli przez ogni pływających gdzieś statków i łodzi rybackich, światła portowego miasta Flamborough. Było to dostateczną dla nich wskazówką; poszybowali zaraz ku miejscu wyznaczonemu na chwilowe ukrycie „Latającej Ryby.”

O 4-ej rano znaleźli się ponad wzgórzami rozgraniczającymi trzy hrabstwa: Surrey, Hants i Sussex; spuścili też zaraz statek swój na morze i zaczęli rozglądać się za miejscem odpowiednim do zanurzenia go w nurtach wody, tak, aby nie był dojrzany przez rybaków, a okręty mogły bez uszkodzenia przepływać nad nim górą. Miejsce takie znaleziono z niemałym trudem i zarzucono kotwicę. Podróżni, zbiory swoje upakowali w dwie łodzie, które następnie spuścili na wodę i wszyscy zasiedli w nich z wyjątkiem profesora.

Jutrzenka już świeciła na niebie, gdy kadłub „Latającej Ryby” zanurzać się zaczął w morzu wreszcie cały zniknął z przed oczu. Wówczas baronet zarządził do wody drabinkę ratunkową z przytwierdzoną do niej lampką elektryczną, i niebawem na jej szczeblach ukazał się profesor w ubraniu nurka i zajął miejsce obok towarzyszy.

Do Portsmouth przybyli podróżni około 9-ej wieczorem; tam po opłaceniu cła od przywiezionych zbiorów i poruczeniu łodzi opiece strażników portowych, udali się na stację kolei żelaznej, aby pociągiem kurjerskim powrócić do Londynu.

Koniec części I.

DZIWIWY PRZYRODY.

(Dokończenie). Patrz ryc. z N. 51.

8) Jednym z bardziej znanych zjawisk, które dostrzegamy dość często na niebie, jest zjawienie się *komet*, czyli gwiazd o długim, świetlanym warkoczem. Pomimo, że zjawiska te bywają dość częste, lud nasz jednakże dotychczas uważa ukazanie się takiej ogonistej różgi za przepowiednię nieszczęść i gniewu Bożego. Komety są to właściwie ciała niebieskie, nie należące stałe i odwieczne do naszego układu słonecznego. Uważać je raczej należy za przybyszy obcych, którzy zdążają ku nam z niezmiernych odległości wszechświatowych przestrzeni, i albo ulegając wpływowi przyciągania planet (takich jak Jowisz, Saturn, Uran i Neptun), zmieniają kierunek swej drogi i pozostają już nadal w przybranej łożynie, albo też zakreślają jeden tylko luk dokoła słonecznego globu i w szalonym pędzie mkną dalej w bezmiary

przestrzeni i nie wracają nigdy już do nas. Komety pierwszego rodzaju zwiemy *peryodycznymi*, ponieważ zjawiają się one na naszym niebie peryodycznie co kilka, kilkanaście, lub kilkadziesiąt lat. Takich jednakże znamy stosunkowo bardzo niewiele, i są to przeważnie komety teleskopiczne, niedostrzegalne gołym okiem. Każda prawie kometa składa się z trzech głównych części: a) świetlanego *jądra*, które wygląda jak niewielka gwiazdka, b) otaczającej to jądro mglistej powłoki, zwanej *głową* i c) mniej lub więcej znacznego *warkoczem* czyli *ogona*. Bywają komety, posiadające kilka na raz warkoczy. W dawniejszych czasach nie tylko lud prosty, ale też i większość ludzi wykształconych uważali komety za przepowiednie wojen, głodu, pożogi i wszelkich nieszczęść. Otóż kiedy w roku 1456, wkrótce po wzięciu Konstantynopola przez Turków, zjawiła się na niebie olbrzymia kometa, wówczas wszystkie chrześcijańskie ludy ogarnęła niezmierna twroga i pewność niemal nowej wojny, która miała oddać pod panowanie wschodnich zdobywców cały chrystyanizm. Chcąc uspokoić umysły, ówczesny papież Kalikst III-ci nakazał trzykrotne codzienne modlitwy rano, w południe i wieczorem, do których kościoły wzywały wiernych odgłosem dzwonów. Zwyczaj ten przetrwał aż do dni naszych i jakkolwiek ustala już obawa Turków i komet, to jednak lud podobnie trzy razy dziennie chwali Królowę Niebios, odmawiając kornie Zdrowaś Marya!

9) Każdy z was słyszał o *wulkanach*, czyli o górach, z otwartego wnętrza których od czasu do czasu wybuchają kłęby dymu i pary i strumieni rozżarzonej masy, zwanej *ławą*. W samej Europie hezmy kilka gór takich, a mianowicie: *Wezuwiusz*, w pobliżu Neapolu we Włoszech południowych, *Etna* w Sycylii, *Stromboli* i *Volcano* na wyspach Liparyjskich i wreszcie *Hekla* i *Krabla* i kilka mniejszych w Islandyi. Niemniej jednak ciekawe, jakkolwiek mniej znane są tak zwane *gejsery* i *wulkany błotne*, które spotykamy również w Islandyi, Nowej Zelandyi i w Ameryce. Najpiękniejsze są dwa gejsery islandzkie: *Wielki Geiser* i *Strokkor*. Są to właściwie mówiąc dość głębokie studnie o prawidłowo zarysowanym okrągłym otworze z którego od czasu do czasu wybuchają sięgająca 60 do 100 metrów wysokości fontanna wody wrzącej. Wybuchowi towarzyszy podziemny huk i wraz z wodą wlatują w powietrzne masy pary i kamieni. Następnie strumień wody stopniowo się zminiejsza, opada i wreszcie geiser wraca do stanu normalnego, aż do nowego wybuchu. Wulkany błotne są to niewielkie gejsery, z których wraz z wodą wytryska masa mułu i błota.

10) *Lawiny*. Wspaniałe to, ale straszne zjawisko. Nagromadzone na szczytach gór śniegi i lody, pod działaniem ciepła słonecznych promieni, nieznacznie, na razie a następnie ze wciąż wzrastającą szybkością usuwają się ku dolinom, niosąc po drodze śmierć i zniszczenie, Bryły lodowe, odłamy skał i kamieni, niezmiernie zaspy śniegowe toczą się jak olbrzymia nawałnica i niszczą w jednej chwili uprawne pola, gaje, winnice, a częstokroć całe wioski i miasta.

11) O ile w okolicach górskich straszną jest lawina, o tyle znowu na morzu zwiastunem śmierci i zniszczenia jest straszliwy *tyfon*, *trąba morską*, ten olbrzymi wiatr, który, pędząc z zawrotną szybkością, łączy rozszalałe bezdnie oceanu z chmurami, porywa w swej drodze, niszczy druzgocze najpotężniejsze okręty, a wydstawszy się na ląd stały w perzynę zamienia miasta i osady. Ojczyzną jego jest ocean indyjski.

12) Na bagniskach, cmentarzach i ponad brzegami stojących wód wśród ciemnych nocy i przeważnie latem zjawiają się niepochwytne, szybko przenoszące, z miejsca na miejsce płomyki, tak zwane *ognie błędne*. Świecą one słabym fosforycznym baskiem. Lud ciemny widzi w nich pokutujące dusze zmarłych i łączy z niemi tysiące fantastycznych baśni i podań. W istocie rzeczy są to wydobywające się z ziemi węglowodorowe gazy, pochodzące z rozkładu materii organicznych. Gazy te po wydobyciu się na zewnątrz płoną słabem, błękitnawym światłem, a unoszone najsłabszym podmuchem wiatru, przeskakują z miejsca na miejsce.

13) Przed burzą, podczas upalnych letnich nocy, powietrze jest przesycone elektrycznością. Elektryczność, jak

to prawdopodobnie wiecie, zbiera się przeważnie na szczytach ostro zakończonych, jak szczyty masztów, wierzchołki wież i t. p. Przy pewnych warunkach nadmiar tej siły, nagromadzony w takich ostrzach wyładowuje się i rozgrzewając otaczające warstwy powietrzne, świeci jak błękitnawy płomyk. Włosi nazwali to zjawisko *ogniem św. Elma*. Na naszym rysunku (fig. 13) widzimy okręt, którego maszty i reje oświetlone są takimi ogniami.

wiska życia. „Wieczory” pomieszczać będą nieraz ciekawe wiadomości z tej niewyczerpanej dziedziny w „Pogadankach przyrodniczych” w których dawny wasz znajomy Abracadabrus, przewodniczyć nam będzie w wycieczkach, a kto go słuchać zechce, temu on pokaże tysiące jemu tylko znanych tajańców, opowie rzeczy ciekawe i piękne

Abracadabrus.



FIGURA CHRYSYUSA PANA NA KRUŻGANKU KOŚCIOŁA ŚW. KRZYŻA.

Niezmierzone są bogactwa przyrody, niezmierną różnorodność jej objawów i zjawisk, a najwyższą, najszlachetniejszą rozkosz człowieka stanowić powinno ich poznanie. A czy myślicie, że jest to rzeczą trudną? Nie, należy tylko umiłować tę naturę, starać się do niej zbliżyć, a wówczas ona sama chętnie odkryje wam swoje tajniki, i im więcej poznawacie je, tym goręcej je ukochacie.

Powyższy szkic pobieżny był tylko zarysem tych różnych dziwów, jakie umysłowi, pragnącemu wiedzy następczają na każdym niemal kroku codzienne, nawet zwykłe zja-

Figura Chrystusa Pana

NA KRUŻGANKU KOŚCIOŁA ŚW. KRZYŻA.

Któż z mieszkańców Warszawy i przejezdnych, przechodząc koło kościoła Św. Krzyża, nie spogląda z uczuciem czi i rozrzewnienia na piękny posąg Pana Jezusa, dźwigającego ciężki Swój męki krzyż, który wznosi się na krużganku tego starego kościoła. Wyraz oblicza, ruch dłoni, pochyle-

nie całej postaci dziwnie ujmuje wszystkich wiernych, bo też posąg ten jest dziełem prawdziwego natchnienia i uczucia. Wykonał go przed laty nieżyjący już rzeźbiarz Andrzej Pruszyński; że jednak figura z nietrwałego kamienia ulegała powolnemu zniszczeniu, w roku bieżącym kosztem ofiar składkowych, odlano według tego samego wzoru posąg bronzowy, który też w przeszłym tygodniu stanął w dawnym miejscu, na podstawie z czarnego granitu. Na wierzchniej płycie podstawy znajduje się jak poprzednio napis łaciński: „Sursum Corda” (Wzniesmy serca).



nych zwykle oczach, błyskał chwilami płomień ożywienia, widać chory jej umysł pracował nad czemś usilnie.

Tymczasem wojewoda Bożydar podgoiwszy lekkie rany, już stanął znowu na czele swych hufców, ponawiając szturm za szturmem; wszakże zawsze odparty zostawał.

Powodzenie takie budziło coraz większą pewność siebie wśród obleżonych, którzy rozzuchwaleni domagali się od Drahomira wycieczki poza mury, aby dać dobrą nauczkę „tym królewskim cacanym wojakom,” jak mówili.

Zgodził się na to Drahomir i na czele ochotników wpadł nocą na obóz nieprzyjacielski, budząc straszny wśród rycerstwa popłoch.

Dzień następny przeszedł spokojniej, i gdy noc zapa-



Niebawem profesor wynurzył się z wody. (Lat. Ryba str. 419).

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dokończenie).

XXII.

Przez cały czas trwającego dotąd obleżenia, wodnica wbrew swemu zwyczajowi nie ruszała się z miejsca, siedząc skulona, niby odretwiwała, w kącie izby. Nikt też na nią nie zwracał prawie uwagi, zapomniana nawet przez kobiety, przeżone tem co się dokoła działo.

Lecz choć pobladły jeszcze więcej jej lica, w zamglo-

dła pod chmurnem niebem, głęboka cisza zaległa dokoła. Rozstawiona straż na murach zamku, lekceważąc już oblegających, posnęła obok przygasłych ognisk. Tu i tam tylko słychać przyciszoną rozmowę.

Wtem postać jakaś przesuwa się bokiem, lekko jakby nie dotykała ziemi.

Może to duch! może upiór jaki?...

Nie, to wodnica wyszła ze swego ukrycia. Przywykła do ciemności jej oczy, rozróżniają wszystko łatwo dokoła. Ze stosu sznurów złożonych pod basztą, wybrała już najdłuższy zwój, tak ciężki, że zaledwie unieść zdoła, dźwiga go jednak, obchodzi gródek dokoła aż do pustego miejsca, kędy rośnie lipa pochylająca się nad przepaścią. Tu skrzesiwszy ogień zapala pęk luczywa i rzuca na dół.

Płomienne błyski zakreślają w powietrzu jasną smugę, ale ona nie patrzy już w tę stronę, choć niebawem ucho jej chwytą przyciszony szmer w obozie; ona spiesźnie dopełnić musi postanowionego dzieła. Oto wybrała już ciężki ka-

mień, owiązuje go jednym końcem sznura, gdy drugi przy-mocowawszy do pnia dziewnego, spuszcza ostrożnie kamień ku dołowi, który głucho uderzając o ścianę skalną, dosięga wreszcie spodu.

Aż oto sznur poczyna się wyprężyć, widno pod ciężarem wdzierającego się nań ciała. Niebawem głowa w chęlnie ukazuje się nad krawędzią skalną, zbrojny człowiek dosięga pnia i lekko zeskakuje na ziemię. Za nim tą samą drogą napowietrzną idzie drugi, trzeci, aż zebrał się zastęp kilkudziesięciu rycerzy królewskiego wojska, który okrzykiwszy dziedziniec zameczka, zachodzi z tyłu ludzi knezia.

Powstaje straszliwy popłoch. W cieniach pochmurnej nocy, napadnięci, nie rozumiejąc zgoła jakim sposobem nie-przyjaciół mógł się dostać do ich gniazda, a co więcej nie znając liczby jego, nie śmiały nawet się bronić, a zbijają w gromady, lub uciekają gdzie który może, gdy wtem:

— Do broni, do broni! — krzyczy gromkim głosem Drahomir — do mnie tu wszyscy, nie dajmy się!

Otoczeni garstką najodważniejszych, stary kneź Mszczuj wraz z synem swoim walczą rozpaczliwie, siejąc śmierć dokoła siebie, aż cięży w głowę toporem, runął starzec z głuchym jękiem. Drahomir cofa się ku drzwiom dworca, by się w nim zatarasować, bronić do ostatka i wreszcie zginąć pod gruzami.

Tymczasem w pierwszej izbie zgromadzone kobiety zawołały głośno, tuląc się dokoła Ziezili, i gdy stary kneź Odylon stoi obojętny zda się na wszystko, zakonnicy usiłują podnieść zrozpaczone umysły ku Bogu.

Wrzawa walki zbliża się z każdą chwilą, ale u drzwi świetlicy staje Ładon, zbrojny w miecz podjęty po którymś z poległych. On zasłonił piersiami swemi bezbronne kobiety, on nie odda ich na pastwę zwycięzców.

— O doloż nasza, dolo — zawołały nieszczęśliwe — co z nami będzie, co będzie z naszą młodziutką księżną.. niewola, ciężka niewola!..

Ziezila stoi milcząca, niby posąg z załamaniem rękoma. W złoci-tych jej, rozpuszczonych na ramiona włosach, odbija się pierwszy promień wschodzącego słońca.

Nagle drzwi ustępują pod naciskiem z zewnątrz i do izby wpada kilku zbrojnych, ale Ładon zastawia im drogę mieczem.

— Ani kroku dalej! — woła rozkazująco.

— Ktoś ty, który nam śmiesz rozkazywać? — pytają draby, przystępując doń z dobytą bronią.

— Jam syn wojewody Bożydara, i biada tym, którzy się odważą wyrządzić tu krzywdę niewiastom lub staremu kneziowi — rzekł Ładon wyniośle,

Zbrojni cofnęli się zmieszani.

— A toć was tam szukają i tych księży takż — rzekł wreszcie jeden z nich.

— Usunąć się stąd natychmiast — rozkazał młody rycerz — niechaj przy drzwiach stanie jeden, strzegąc izby, póki nie wrócę od ojca

Zaledwie wszakże wyszedł na przedsiónek, gdy potknął się o leżącego na ziemi Drahomira, którego twarz śmiertelna pokryła bladeść, a krew zabarwiała zbroję na piersi.

— Bracie, co tobie — rzekł rycerz, pochylając się ku nieszczęsnemu.

— Ranny jestem, ale na dawną naszą przyjaźń zaklinam, nie oddaj mię żywego w ich ręce... dobij... sam już nie mam siły... — mówił kneź urywanym głosem.

— Po co tak rozpaczliwa mowa — życie i szczęście jeszcze przed tobą, druhu mój kochany, tyś w mojej odtąd opiece. A zwracając się do pachołków, rozkazał:

— Wnieście go do izby! Wy zaś wielebni ojcowie udzielcie mu proszę spiesznej pomocy.

Teraz Ziezila ujrawszy rannego, który leżał bezwładny rzuciła się ku niemu, a objąwszy tklivem ramieniem:

— Bracie, mój bracie! — wołała łkając.

— Gołąbko ty moja — rzekł z widocznym bólem ser-

ca młody kneź. — Oto zostajesz sama, nikogo na świecie, ktoby się o cię zatroszczył.

— Nie dam jej krzywdy wyrządzić żadnej, zawsze i wszędzie bronie jej będę — rzekł z mocą Ładon.

— Dzięki ci, druhu wierny i szlachetny. Śmierć lżejszą mi będzie skoro wiem, że ty jej miejsce moje zastąpisz, ja... ja już nic... tu urwał młody kneź, osuwając się omdlały.

— Ja z tobą, bracie, gdy ciebie nie stanie i ja żyć nie chcę! — wołała Ziezila.

Tymczasem gdy zakonnicy opatrywali rannego, młody rycerz pospieszył odszukać ojca. Twarz sędziwego wojewody zajaśniała radością na widok syna, którego przez długi czas miał już za straconego. Ten uściskawszy jego kolana, rzekł spiesznie:

— Ojczy miły, tam w izbie leży ranny syn knezia Mszczuja, on druhem moim, niedawno jeszcze życie mi ocalił z rąk pogan, nie dozwólcie by niewola zaciążyła nad nim; gościnność, jaką mię darzył u siebie, niechaj znajdzie w domu naszym.

— Z serca radbym spełnić twą prośbę, synu mój — rzekł łaskawie wojewoda, ale on nie moim, jeno królewskim więźniem. do króla też jedynie należy wyrok o jego losie.

— To pójdę do króla i błagać go będę! — postanowił z mocą Ładon. — Powiedzcie mi wszakże ojczy, jak zdobyliście to gniazdo orle, dotychczas niedosięgnięte?

— Obstawając za prawdą, wyznać muszę, nie moja w tem zasługa, bo sam już zwątpilem o powodzeniu, gdy wczoraj zjawił się w obozie niejaki Rokitka, karzeł zamieszkujący pobliską pieczarę. Ten mi zwierzył, że obłąkana dziewczyna zwana przez lud wodnicą, a znajdującą się właśnie w gród-ku, ma za jego namową, nocy dzisiejszej spuścić sznur, po którym rycerze moi dostaną się na dziedziniec a jako sygnał że wszystko jest gotowe rzuci zapalone łuczywo. Oczekaliśmy zatem nocy przegotowani i gdy po sznurze ludzie moi wdarli się na górę, zwycięstwo już musiało być naszym.

— A więc to sprawa wodnicy — rzekł Ładon podążając wraz z ojcem ku baszcie. Ciekawa rzecz jakie powody skłoniły ją do tego czynu.

— Rokitka wszystko mi odpowiedział, aby mię upewnić o prawdzie słów swoich. Obłąkana ta dziewczyna ma być córką Jaromira, którego kneź Mszczuj wraz z resztą rodziny wymordował przed laty. Ją tylko jedną, wówczas małeńką jeszcze, ocalała wierna sługa, ale rozbity jej duch strasznie przeżył, już nigdy nie odzyskał jasnej świadomości. Tylko wspomnienie wyrządzonej krzywdy, pozostało wzbudzać ciągle pragnienie zemsty. Skorzystał z tego Rokitka posuwając jej dzisiejszą zdradę.

— Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy — rzekł Ładon. — I oto za przyczyną biednej obłąkanej, legł potomek dawnych książąt, okrutny kneź wilk, który był postrachem dla wielu, a który samemu urągał królowi...

— Padł, ale się nie ukorzył — ozwał się ochrypły głos z za węgła wieżycy.

Ojciec z synem spojrzeli w tą stronę. Tam oparty plecami o ścianę leżał kneź Mszczuj, srogi, dumny jeszcze; choć już cienie śmierci zachodziły mu na licę; u nóg jego wilk Luty szczyrzył zęby, broniąc przystępu do pana.

— Tak jest powtórzył wyniośle starzec — nie ukorzyłem się przed nikim, nie uznalam żadnego nad sobą pana! Jak orzeł na skale żyłem i umieram wolny. Ale wam moje uczucia obce, wy słudzy i pachołkowie królewscy!..

Głos knezia, jak ryk ranionego lwa drżał, w powietrzu powtarzany echem skał okolicznych. Śnać jednak wysilek ten odebrał mu resztę mocy, bo wnet jego oczy przygasły i zesztyniały członki w uścisku zimnej śmierci.

— Idź w pokój, kneziu, do swoich przodków. Niech ci ziemia będzie lekką i nie zaciężą kamieniem na twój duszy okrutne czyny twego życia — rzekł wojewoda uroczystie

Po koniecznych rozporządzeniach opieki nad gródkiem, aż do nowych rozkazów królewskich, zajął się wojewoda Bo-

żydar przynależną wielkiemu knieziowi uroczystością pogrzebu wedle prastarych jeszcze obyczajów pogańskich Słowian.

I gdy na wyniosłym stosie z drzew złożono ciało zmarłego, którego nie chciał opuścić wierny wilk Luty, gdy przywiązano tuż obok ulubionego rycerzowi wierzchowca, i błysnęły pierwsze płomienie na czterech rogach stosu, obecna Zezilia serdecznie z nami córki zastępowała najęte płaczki.

Wtem z tłumem wybiega człowiek jakiś, a pochyliwszy się przed wojewodą woła błagalnie:

— Pozwólcie mi zgorzeć tam razem, toż mu służyłem życie całe, niechże i po śmierci podam mu konia do boju! i nie czkając dłużej wierny pacholek Łyszczak wskoczył na stos, gdzie z kłębow dymu i płomieni dochodziło rżenie rwącego się konia i przeciągłe wycie wilka.

Obcy wszystkiemu co się dokoła niego działo, leżał Drahomir na łożu swoim. O. Augustyn czuwał nad nim dniem i nocą, niosąc mu uniejętnie sporządzone leki, choć poznał wkrótce, że nie te rany na ciele sprawiają najsroższy ból młodemu księciu, bo stokroć więcej cierpiał on moralnie w obec upadku potęgi rodu swego. To też z posępną chmurą na czole słuchał on starego wojewody, który zanim opuścił zameczek przyszedł go zapewnić o swej życzliwości obciążając wstawienie się u króla.

— Szlachetność waszą cenię, wojewodo; ale stokroć większą łaskę wyświadczyłbyś mi, zadając natychmiast cios śmiertelny niż zmuszając do dzwigania niewoli, która mię czeka. Nie tak, o nie tak, kończyć przystało potomkowi niezależnych knieziów.

— Rozpacz taka mało przystoi waszemu rycerskiemu sercu, a nadzieja winna być udziałem młodości — rzekł z powagą wojewoda. Co okaże się w naszej mocy otrzymać u króla, bądźcie pewnym, że zrobimy ale dajcie mi słowo rycerskie, że nie będziecie sami szukać śmierci.

Drahomir milczał długą chwilę, wreszcie przemógł się, uściśnął podaną sobie prawicę wojewody i rzekł krótko.

— Macie me słowo rycerskie.

Ponieważ doszły wieści, że król z Krakowa podąży do Sandomierza postanowił wojewoda złączyć się z nim w drodze, wysyłając tymczasem do stolicy część swego wojska, i wraz z nim zabranych z gródka jeńców.

Oprócz zakonników, których już ani na chwilę nie chciał opuścić stary knież Odylon, ciesząc przysługę swe oczy widokiem ukochanego wnuka, znajdował się tam również niefortunny podczaszy margrafa który jednak wiele stracił ze swej objętości, skazany na parodniowy post w wielkiej skrzyni, gdzie się tchórzliwie schował w czasie oblężenia, a gdzie go szczęśliwym wypadkiem przy życiu jeszcze znaleźiono.

O wodnicy wszakże nikt odtąd już nie posłyszał, z chwilą dokonanej zemsty zniknęła, niby kamień wrzucony w wodę.

XXIII

Jako sobie postanowił wojewoda Bożydar, tak też i zdążył przyłączyć się do orszaku króla Bolesława, jadącego wraz z królewiczem Mieszkiem do Sandomierza. Powitany łaskawie przez monarchę zdał mu sprawę z zaszłych wypadków, a Bolesław okazał się rad wielce z ostatniego pogromu burzliwych i niedających się ująć w żadne karby dawnych knieziów.

Pokłonił się też królowi młody rycerz Ładon a idąc za głosem serwa, padł na kolana i prosił o łaskę wolności dla druba swego Drahomira, przedstawiając jako niechętnie i tylko z posłuszeństwa srogiemu ojcu, stawał się dotychczas opornie władzy monarszej.

Ale Bolesław dotąd łaskawy namarszczył brwi surowo.

— Znam ja ich wszystkich — wybuchnął groźnie — drapieżny to i buntowniczy ród, na które go niema innej rady, aż póki ich jako wilków w knei nie wytępisz. Byłem zbyt dobrym zostawiając im ziemie i godności, bo to ich jedynie do buntów i knowań rozzuchwalało. Odtąd srogość moja zaciąży nad nimi, niechaj zginie ostatni, jako zasłużył!

— Miłościwy panie — rzekł Ładon nieustraszony — wiem, że nie przystało rycerzowi wspominać zasług położonych na polu bitwy, ale tyś sam Miłościwy Królu, w on czas gdy wziął znacznego rycerza saskiego do niewoli, obiecał spełnić pierwszą prośbę moją, przetoć błagam, wysłuchaj mię dzisiaj!

— Śmiałość twoja jest wielką — rzekł król surowo — proś o co innego, bo tu, co raz rzekłem, to spełnię.

Zrozumieli wszyscy, jako gniew króla jest wielki, i że niema prawie nadziei, aby młodego knezia dało się uratować od śmierci.

Szczerze tem zwartwionego Ładona pocieszał jeszcze stary wojewoda, że może wpływ królowej i opata Tuni zdoła coś uzyskać i do nich też zwrócił się zaraz po powrocie do Krakowa.

Chętnie przyobiegała królowa wstawić się za młodym rycerzem raz, że była dobrą i litościwą, a także przez wzgląd na Ziezilę, którą wzięła pod swą opiekę do grona dziewic dworskich, i macierzyńską otoczyła czułością, kojąc słowami pociechy zboliałe serce osierociałej kniazówny.

Z całkiem odmiennych pobudek uważał za konieczne rozważny opat Tuni złagodzić surowość monarchy.

— Na cóż wam, miłościwy panie — mówił on — mścić sobie niechętnych? Czyli i tak nie macie ich dosyć? Czyż nie macie w cesarzu Niemiec odwiecznego wroga z otwartym zawsze okiem na każdą słabość za każdą pomyłkę. Czyż nie zechce on skorzystać z niesnasek domowych, któreby niewątpliwie zbudziło wykonanie surowego wyroku.

— Może jest słusność w słowach twoich — rzekł król po dłuższym namyśle — niechże więc łaskawość moja raz jeszcze wystawioną będzie na próbę.

Nazajutrz po tej rozmowie zasiadł król Bolesław w izbie radnej otoczony dwunastu doradcami, mając przy boku królewicza Mieszka, opata Tuni i Stoigniewa.

Bogactwo i przepych, na jakie zdobyć się mogły te wieki, widny był dokoła, podnosząc uroczystość owej chwili, w której młody knież Drahomir miał stawać przed obliczem monarchy, by usłyszeć z ust jego słowa łaski.

Zbrojna w złożone topory straż przyboczna, stojąca przy drzwiach komnaty przepuściła knezia. Ten zrazu olśniony nieznanym sobie majestatem królewskim, przybrał wnet postawę należnej mu godności.

Pierwszy w imieniu króla ozwał się wojewoda Sieciech.

— Kniazu — rzekł — wiecie, że ojciec wasz ciężko zawinił przeciw królowi i ziemi swojej, wszczynając bunt i zamieszki, a jako mamy dowody zamyślał nawet o wezwaniu pomocy obcej. Przeto zasłużył na ciężką karę, lecz stanął on już przed innym sędzią. Wyście po nim zostali, a choć byliście współnikami jego, miłościwy król nasz, gotów wam winy darować, jeśli złożycie przysięgę lennej wierności.

— Gotów jestem zaprzysiądz mu wieczną zgodę — odrzekł Drahomir — ale i dla starego knezia Odylona, który niczem nie zawinił, proszę o wolność.

— Otrzyma ją — rzekł wojewoda.

— Niechże więc starym zwyczajem król wrzuci kamień do wody i ja tak uczynię, i mech zapanuje wieczny między nami pokój. Nie miałem ci ja dla niego żadnej w sercu niechęci, czemuż więc nie mielibyśmy podać sobie ręki do zgody.

— Dobrze — odparł wojewoda — a że miłościwy król łask swoich nie szczędzi, przeto daje wam w posiadanie ziemie około Wiślicy, abyście je wiecznie wy i potomki wasze dzierżyli. Ukłękniście więc kneziu Drahomirze, aby przyjąć dar ten od króla.

Lecz dumny rycerz cofnął się na te słowa.

— Ja miałbym klęknąć! Kolano moje dotąd przed nikim się nie ugięło i nie ugnie nigdy. Toż wiecie, że nie prostym jestem kmieciem ani władką, lecz potomkiem wolnych książąt, niegdyś na Krakowie, a choć ród nasz nie panuje już dawno, równać się wszakże możemy z samym królem. Toż nie padnę przed nim, choć cześć dla niego mam wielką,

bo uważam go za najmędrszego i najmężniejszego ze wszystkich, jacy kiedy u nas rządzą.

Z początku tej śmiałej mowy, czoło Bolesława groźnie się zachmurzyło, powoli jednak poczęło się wypogadzać, aż zajaśniała na jego obliczu owa przyznana mu przez wszystkich wspaniałość, gdy rzekł do młodego knezia:

— Przez wzgląd na krew waszą, kneziu Drahomirze, król ustępuje od przyjętego zwyczaju i pozwala wam stojąc, złożyć przysięgę wierności.

— Wielkim jesteś, zarówno sercem jak i walecznością o królu — zawołał Drahomir w szlachetnym uniesieniu — i bądź pewien, że dotrzymam ci wierności, jakiem kneź i rycerz! poczem głośno i dobitnie wymówił słowa przysięgi.

Dla uświęcenia ostatecznej ugody zostawało jeszcze dopełnienie ceremoniału pojednania, wedle odwiecznego słowiańskiego obyczaju.

Gdy więc stanął król wraz z licznym poczetem rycerstwa nad brzegiem Wisły, młody kneź rzucił w fale rzeki ujęty kamień, mówiąc:

— Jak ten kamień utonął w rzece, tak niech utoną wszystkie niezgody nasze, królu. Niech odtąd pomyślność ziemi tej, wspólnej matki naszej, płynie tak szerokim strumieniem, jak płyną wody wielkiej naszej Wisły!

Z kolei król podniósł kamień, a rzucając go w wodę, rzekł:

— Niechaj wszelkie nieporozumienia nasze giną, przepadną, jak przepadł ten kamień. Oby odtąd kneziowi z rodu twego wychodziło tylko dzielni i prawi rycerze!

Poczem usunąwszy się nieco z Drahomirem na bok, długo mówił coś, wyciągnąwszy rękę w stronę rzeki, przyczem oczy dziwnym płonęły mu blaskiem.

U nóg ich stara Wisła szumiała spokojnie, jakby fale jej chciały również opowiedzieć coś młodemu kneziowi, który stał zasluchany, a głębokie myśli jaśniały na wzniesionem czole jego, wraz z ostatnimi blaskami zachodzącego słońca.

Choć dawno już opuścił wybrzeże król z orszakami swoimi, Drahomir stał tam jeszcze pogrążony w zadumie, z której zbudziło go nareszcie zbliżenie się Ładona.

Obaj wierni sobie druhowie, uściśnęli dłonie w milczeniu. Wreszcie młody kneź ozwał się pierwszy:

— Słyszałem bracie, żeś narażał się nawet na gniew króla aby mię ratować, i choć wdzięczny ci jestem, nie będę się bawił w cześć słowa podzięk. Wiesz, że to samo uczyniłbym dla ciebie, bośmy braterstwo ślubowali na wieczu. Ale pragnąłbym, aby związki krwi, bliżej nas jeszcze złączyły. Jam teraz głową rodu! Ziezilia mą siostrą jedyną. Niedługo poślubiona była bogom... dziś jako chrześcijankę tobie oddaję za żonę. Nie radbym ją przymuszać, ale też jeśli nie mylą mnie oczy, przychylną ci jest oddawna... Gdy zaś

przyjmę chrzest jako postanowiłem, słysząc w niewoli szlachetne słowa zakonników, i przekonawszy się, że Bóg chrześcijański jest wielkim, a nieskończenie dobrym, gdy już nie będzie nas dzielić wiara... wtedy... poproszę ojca twego o jedną z siostr twoich... czy zgoda?

— Wszystko co rzekłeś, radosnem sercem przyjmuję — zawołał Ładon — odtąd rody nasze będą jako jeden i nie ich rozdzielić nie zdoła!

Tu przyjaciele podali sobie raz jeszcze dłonie i zwrócili kroki swe w stronę grodu, nad którym już mgła wieczorna osiadła błękitnym tumanem.

Uszczęśliwiony odyskaniem wnuka swego, kneź Odylon, wzniósł na pamiątkę pierwszego z nim spotkania u stóp góry Łysej posąg kamienny, wyobrażający klęczącego zakonnika. Gruba ta rzeźba, jak wszystkie w owych czasach, budziła jednak podziw we współczesnych. Stoi ona dotychczas na tem samem miejscu, i choć znaczenie jej zagubiło się w pomroce wieków, znawcy przypisują ją zgodnie pierwszym początkom chrześcijańskiej ery na naszej ziemi.

Nie długo już wszakże żył potem kneź stary. Oczy mu zamknął brat Angelo, który zasłynął na kraj cały świętobliwością swoją, jako przeor klasztoru na Łysej górze, zwaną już odtąd górą Świętokrzyską. I tam gdzie niegdyś odbywały się tajemnicze obrzędy ku czci pogańskich bogów, rozbrzmiewały teraz pieśni na chwałę Stwórcy, śpiewane przez zakonników, którzy umacniali w wierze i cnotach lud okoliczny.

Przy budowie kościoła odkryto jeszcze wśród skał różne zabytki pogańskie, a między innymi długie przejście podziemne, prowadzące z puszczy aż do stóp góry. Tędy to ostatni czciciele bogów dążyli na tajne zebrania; tam też stary Zabój znikł niegdyś z przed oczu śledzącego go Ładona.

Kiedy książę Emeryk przybył znów w gościnę do wuja zastał już pozłocisty krzyż kościelny, połyskujący na szczycie góry w tem samem miejscu, gdzie usłyszał przed laty ów głos cudowny, i gdzie niegdyś ognie, migające nocą, straszły lud zabobonny.

Tylko puszcza po dawnemu szumiała jeszcze długo, kryjąc w swych mrokach niejedną tajemnicę i po dawnemu rozlegały się w jej głębiach niby srebrne śmiechy wodnic i boginek.

Oto skończona legenda o ostatnich obrońcach bogów. Opowiedziała mi ją ziemia, ta szara ziemia, kryjąca w swej łonie tyle dawnych pamiątek, wyszeptala mi ją lasy szumiące w chwilach, kiedy omszały dąb zwierza się brzozie białej z dawno upłynionych, niegdyś przez jego przodków widzianych zdarzeń.

K o n i e c .

**Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na 1899 rok dla uniknienia zwłoki
w przesyłce Pisma.**

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3/2 korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Adam Mickiewicz (z portretem). — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby” przez H. C. (z ryc.) — Dziwy przyrody. — Figura Chrystusa Pana na krużganku kościoła Św. Krzyża (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — **Dodatek:** Piosenka zegara, p. M. D. (z ryc.) — W wigilię Bożego Narodzenia p. J. Osęka. — Czy będzie? Komedyjka w jednej odsłonie. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 15 Декабря 1898 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balinska.

W drukarni Noskowskiego, Wrocicka Nr. 16.

WIECZORY RODZINNE

Piosnka zegara.



Chwilka za chwilą tuż,
Z chwilek godziny już,
Czas chyżo w przeszłość mknie
I nie powróci, nie!

*
* *

Ja znaczę czasu bieg,
Twój dziecię zliczam wiek,
Śledzę ubiegłe dni
Młodości, co ci lśni.

*
* *

I pytam: z Bożych łask
Jakiż pozostał blask?
Tik - tak... tik - tak...
Coś działał? co i jak?...

*
* *

Niebawem stary rok
W przeszłości zniknie mrok,
A nowy wzniesie skroń,
Z nadzieją chodź więc doń.

*
* *

Łaskawym chce on być,
Złotą rozwinąć nić,
Nieś szczęście, radość ci
Przez wszystkie swoje dni.

*
* *

Lecz w zamian chce, byś ty
Współczucie miał dla łzy,
Znał zacej pracy znój
I obowiązek swój.

*
* *

By czyny twoje szły
Nie jako zwodne mgły,
Lecz niosły zasług blask
Z doznanych Bożych łask.

*
* *

Tik - tak... tik - tak...
Co działasz — co, i jak?

M. D.

J. Osęka.

W wigilię Bożego Narodzenia.

Bajka czarodziejska.

(Dokończenie).

— Ja... ja o niczem nie wiem... — począł się tłuma-
czyć wreszcie, lecz dworzanin nie słuchał go nawet i po-
szedł dalej.

— Jakże się usprawiedliwię, jak dowiodę, że nie-
winny — myślał chłopiec — skoro wiem, że tu w krainie
kłamstwa, prawda zawsze się ukryje.

Tymczasem dochodziły jego uszu pojedyncze zda-
nia stojącej nieopodal gromadki Śniegoludków.

— „A to się pięknie wywdzięczył za gościnność!”

— „Że się nie przyzna, rzecz pewna, niema go na-
wet co badać”...

Oburzony chłopiec niesłusznym posądzeniem, posta-
nowił głośno się usprawiedliwić; gdy wtem nadszedł So-
pelka i wzięwszy go na bok, rzekł mu cicho:

— Za chwilę masz być uwięziony.

— Ależ za co?

— No, niema co słów tracić, wszyscy wiedzą, że
stłukłeś posąg księcia, wtenczas gdy cały dwór wyjechał
kuligiem. Jak z przyjaźnią jestem dla ciebie, tak radzę
ci, ratuj się spieszną ucieczką, bo gdy cię zakują w lodo-
we kajdany, nie uwolnisz się przed nadejściem wiosny.

Słyszając to, Henryczek zadrzał z oburzenia i strachu.
Coprędzej opuścił zameczek księcia i począł uciekać ku
lasowi. Mimo, iż raz po raz zapadał w śnieg i zimno
przejmowało go na wskroś, biegł ciągle, zbierając sił
ostatki. Wreszcie wyczerpany padł pod drzewem, o któ-
rego pień uderzywszy głową, zemdlął.

Przytomność wracała mu właśnie, gdy posłyszał
dzwoneczki przejeżdżających sanek a równocześnie do-
brze mu znany głos Sopolka:

— A tom się ubawił! Z figli przysła mi ochota
nastraszyć go więzieniem, i gdybyś widział przyjacielu,
jak uciekał! Za boki się brałem patrząc za nim. Ciekaw-
wy jestem, gdzie się teraz ukrywa?

— Ha, ha, ha! — śmiał się towarzysz obłudnego So-
pelka.

Serce Henryczka biło jak młotem.

— Jakto, więc ten, który go o przyjaźni swej zape-
wniał, mógł względem niego tak postąpić?...

Pod pierwszym wrażeniem oburzenia, już chciał za-
wołać z sił całych:

— Nikczemną jest twoja obłuda, Sopolku!... ale na-
głe powstrzymał się, bo czyż to on sam nie wyśmiewał
Kazia, chociaż mu również mówił o swej przyjaźni; czy
się nie bawił, gdy kłamliwą wieścią przestraszał bonę,
czy przyznał się, ilekroć wyrządził jaką szkodę w domu,
czy dotrzymywał dawanych obietnic?...

— Tyś zawsze wszystkich oszukiwał — szepnęło
mu sumienie — poznaj teraz jak to przyjemnie być za-
wiedzionym. Śniegoludki wcale od ciebie nie gorsi.

— Ach, żeby jaknajprędzej stąd się wydostać —
westchnął. Noc tę wszakże trzeba tu jeszcze przepę-
dzić. Byle tylko dach jaki mieć nad głową... O dzięki
Bogu, zdaje się, że to chata leśnika szarzeje tam nieda-
leko!

I poszedł, a raczej dowlókl się strudzony chłopiec

do owej chaty, gdzie na snopku siana przespał spokojnie resztę nocy.

Nazajutrz zbudził się wcześniej. Czarodziejska kaskada przyszła mu na myśl, a zapytany leśnik objaśnił, że zaledwie godzina drogi dzieli go od tego miejsca.

— Jużbym nie żałował doznanych przykrości u Śniegoludków, gdybym tylko otrzymał od czarodziejki tę nadzwyczajną siłę, o którą ją prosić zamierzam — myślał sobie, i pożegnawszy leśnika, podążył ku kaskadzie.

Po godzinie dość uciążliwej drogi, ujrzał przed sobą coś w promieniach wschodzącego słońca, co migąło wszystkimi barwami tęczy i wyglądało jak zastygła góra ognia. Była to kaskada.

Podszedłszy bliżej, stanął u podnóża lśniącej, pionowej ściany lodowej tak wysokiej, że szczyt jej ginął w obłokach.

Grube sople lodu zwieszały się brzegami, środkiem zaś rysowały się zamarźnięte fale, zatrzymane w biegu kleszczami mrozu.

— Strasznie wysoko, lecz wejść tam muszę, skoro już raz tu jestem — pomyślał Henryczek, i począł się wspinać na wyżynę, chwytając się rękami śliskich sopli.

Zadanie było trudniejsze, niż myślał. Zimno lodu przejmowało go na wskroś, ręce kostniały, tracąc siłę i swobodę ruchu, a przed nim lód taki lśniący, że ócz prawie otworzyć nie może.

— Ani sądziłem, że to tak trudnem będzie; och, jakże tam wysoko jeszcze — jęknął chłopiec i chcąc zmierzyć przestrzeń, którą już przeszedł, spojrzął w bezdenną zda się przepaść parowu, nad którym zawisł właśnie.

Lecz w tejże chwili pociemniało mu w oczach, ręce zeszywniałe opadły, uczuł zawrot w głowie z tą straszną świadomością, że leci w otchłań.

Skoro otworzył znów oczy, spostrzegł pochyloną nad sobą staruszkę, podobną do tej, którą poznał w choinkowym lesie; rozcierała mu ona skronie i wlewała w usta wzmacniający napój.

— Co to się stało? — zapytał słabym głosem.

— Byłbyś się zabił, gdybym tu nie znalazła się właśnie w pobliżu; zaczepiłeś się o sople i wisiałeś nad samą przepaścią. Bo też co za szalona myśl wdzierać się na tę górę...

— Śniegoludki mówili... chciałem otrzymać od czarodziejki...

— Więc ty uwierzyłeś, że tam na szczycie mieszka czarodziejka? Ależ to kłamstwo wymyślone przez Śniegoludków, u których obalamucenie łatwowiernych uchodzi za niewinną zabawkę...

— Niewinna zabawka! — powtórzył z oburzeniem Henryś, lecz w tejże chwili przypomniał sobie, ile to razy on próbował obalamucić rówieśników i młodsze od siebie dzieci.

— A czy możesz zaręczyć, że dzięki twym zmyślnym bajkom, nie zdarzył się żaden nieszczęśliwy wypadek? — szepnął mu głos wewnętrzny. — Czy zaręczysz, że Kazio nie dlatego wpadł w przerębę, że szukał pod lodem jaskółek, o których mu rozповідаłeś? Czy nie stałeś się powodem zbłąkania małego Henia w lesie, który tam upatrywał tajemniczego strzelca, niby twego przyjaciela. Wstydząc się swej łatwowierności, nie przyznawali się oni

wprawdzie do tego, ale ty wiesz najlepiej, jak sobie z nich drwiłeś. Któż zresztą zdoła zliczyć ilu przykrości stały się powodem te twoje niby niewinne żarty?

— Ach — zawołał Henryś — jeśli się stąd wydostanę, obiecuję nigdy, przenigdy już nie kłamać, a zawsze się trzymać szczerzej prawdy.

— I dobrze uczynisz, moje dziecko — odrzekła staruszka. — Bez ukochania prawdy, nie można być dobrym i szczęśliwym. Na kłamstwach zawsze ktoś, kiedyś ucierpi. Wierzę twemu postanowieniu, więc jeżeli chcesz znaleźć się znów w domu, rzuć za siebie te trzy kulki śniegowe.

Skoro tylko Henryczek rzucił je, uczuł się porwanym w powietrze.

Zbudził się w ogrodzie swoich rodziców. Powrócił do domu i spostrzegł na zegarze, że zaledwie parę godzin od jego wyjścia upłynęło. Widocznie u Śniegoludków czas szedł inaczej.

Dowiedział się też, że pan Bronicz już odjechał nie wspomniawszy nie o dzienniczku. Zosia skakała z radości, że wnet zajaśnieje drzewko.

Ale Henryczek nie czekał tej chwili. Poszedł spiesźnie do ojca i sam się oskarżył, a z taką skrucą prosił o przebaczenie, że je uzyskał.

Od tego dnia stał się tak słownym i prawdomównym, że nieraz koledzy jego i domownicy mówili:

— To musi być prawdą, skoro Henryczek tak powiedział.

CZY BĘDZIE?

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE.

(Dokończenie).

KAZIO (*zatrzymując ją*). Nie odchodź, Stasiu, mam ci coś ważnego do powiedzenia; czy wiesz, że choinka już ubrana, a jak ślicznie!

STASIA (*z radością*). Nie może być! Kaziu, czy nie żartujesz znowu?

KAZIO. Nie, nie, możesz mi wierzyć, widziałem na własne oczy.

STASIA. Gdzie? jakim sposobem?

KAZIO. Wyobraź sobie, ciocia Helcia, wychodząc z gościnnego pokoju, zapomniała zamknąć drzwi, ja też cichuteńko podszedłem, i oczom moim przedstawił się widok wspaniały!

STASIA (*zaciekawiona*). Mów, mów, co widziałeś.

KAZIO. Naturalnie, że nie co innego tylko choinkę, ale jak wspaniale przybraną!

STASIA. Jakże się cieszę! ta niedobra Marysia tak mnie zmartwiła.

KAZIO. Pod drzewkiem leży lalka...

STASIA (*przerzywa*). Lalka! Kaziu, czy ty nie żartujesz? bo gdyby tak nie było, płakałabym całą noc z twej przyczyny.

KAZIO. Dziecko jesteś. Nie żartuję bynajmniej, dostaniesz lalkę mało mniejszą od siebie; dla mnie tam

są farby i przybory do rysunków, dla Józki papier listowy, i uważaj, prawdziwy zegarek.

STASIA. Skąd wiesz, że to dla Józki? może to właśnie dla ciebie.

KAZIO. Kiedy są kartki z napisami, co dla kogo przeznaczone.

STASIA. A cóż jest na lalce napisane?

KAZIO. Na lalce leży karteczka, a na niej wielkimi literami „dla Stasi.”

STASIA. Jakże się cieszę! Nie daruję Marysi, pójde jej zaraz powiedzieć, że bez jej łaski wiem o wszystkim.

KAZIO. Ghodź, chodź, ja też powiem jej to samo. Tak jej prosiłem, żeby powiedziała, czy będzie choinka, a ona ciągle powtarzała, że nie wie. (*Kazio i Stasia wychodzą*).

SCENA III.

(*Józka i Adelciu ubranu do wyjścia*).

JÓZKA. Jak to dobrze, że wstąpiłaś do nas, chociaż na chwilę.

ADELCA. Nie zgadniesz, Józku, co mię sprowadza. Mam w domu tyle zajęcia, że wybiegłam tylko kupić sobie koronki do sukienki, którą mi szyją, tymczasem wypadek zrzucił, że zamiast do sklepu, przyszedłam do ciebie.

JÓZKA. Zaciekawiasz mię, Adelciu. Cóż to za szczęśliwy wypadek sprowadził cię do mnie?

ADELCA. Przychodzę po radę, bo tak na razie trudno samej coś obmyślić.

JÓZKA. Mów, mów, droga Adelciu, jestem zawsze gotową na twoje usługi.

ADELCA. O, wiem o tem doskonale! nigdy mi jeszcze nic nie odmówiłaś; ale do rzeczy, bo czas upływa, a miie bardzo spieszno.

JÓZKA. O cóż więc chodzi? bo dotąd nic nie wiem.

ADELCA. Prawda! Jakże jestem roztargniona. Wyobraź sobie, zaledwie wyszłam z domu, spotykam dwoje dzieci: dziewczynkę może 10 letnią i chłopczyka, ot tak maleńkiego, przytulonych do siebie. Spostrzegłam, że chłopczyk często czerwone od zimna rączęta podnosi do oczu i łyzy ociera, a w oczach dziewczynki także łyzy duże błyszczały, które ona mężnie powstrzymywała, uspokajając malca. Zgadnij, Józku, dla czego malec tak gorzkimi zalewał się łzami.

JÓZKA. Może są bardzo biedni, może sieroty bez matki.

ADELCA. Nie, nie zgadłaś! Rodzice tych dzieci, nie byli bardzo zamożni, lecz zawsze starczyło im na choinkę. Teraz ojciec umarł, matka w czasie jego choroby wydała zapas pieniędzy jaki posiadali, i zostali prawie w nędzy.

JÓZKA. Teraz już wiem wszystko! Nie będą mieli choinki i dla tego malec płakał.

ADELCA. Jeszcze nie zgadłaś. Owszem, matka dała im rubla, aby sobie małą ubrali choinkę.

JÓZKA. To może mały płakał, że choinka będzie bardzo skromna.

ADELCA. O nie, nie tego płakał. Dziewczynka wyrzekła się choinki i braciszka do tego namawiała, gdyż

matka ich chodzi już prawie boso, więc za tego rubla chciała jej kupić trzewiki na gwiazdkę.

JÓZKA. I tego chłopiec płakał?

ADELCA. Bo mu żal było choinki, a i mnie się na płacz zbierało, gdy zawołał: pozwól mi płakać teraz; przy mamie już ani pisnę, żeby jej przykrości nie robić, przecież ja mamę kocham! — i malec znowu zalał się łzami, których mu już siostrzyczka nie broniła.

Zatrzymałam ich, aby się o ich adresie dowiedzieć i w końcu dałam im rubla przeznaczonego na koronkę. Dziewczynka zaczerwieniona przyjąć go nie chciała, ale chłopczyk jej doradzał: — Weź Bronciu, pani mówi, że za rubla trzewików nie kupisz, a mamie tak zimno w nogi. Przekonana temi słowami Broncia, wzięła pieniądze, podziękowawszy mi serdecznie. O! gdybym miała choinkę, posłałabym ją tym dobrym dzieciom, lecz niestety! teraz już kupić zapóźno.

JÓZKA. Gdyby to odemnie zależało, oddałabym naszą, ale ona przeznaczoną jest dla Kazia i Stasi.

ADELCA. A gdyby im wszystko powiedzieć?

JÓZKA. Jeśli myślisz, że uczyniliby taką ofiarę zatem spróbujmy! (*wychodzą*).

SCENA IV.

(*Wchodzi Marysia*).

MARYSIA. Gdzież się dzieci pochowały? szukam wszędzie tych ciekawskich. Może się zmówili i ukryli aby zobaczyć, jak będą przenosili choinkę do salonu. Trzeba się pilnować, poco mają widzieć przedwcześnie. Większa będzie niespodzianka, gdy ujrzą choinkę w salonie pięknie oświetloną. Dopieroż to będzie uciecha! Pan Kazimierz udaje, że go to nie zajmuje, ale panna Stasia to będzie skakać i krzyczeć z radości! (*po chwili*), ale ja się tu zabawiam, a tylko patrzeć jak pierwsza gwiazdka zabyłśnie (*wychodząc, spotyka Kazia i Stasię*).

SCENA V.

MARYSIA, KAZIO I STASIA.

STASIA. Marysiu! prędko bierz choinkę...

KAZIO. Tylko się spiesz, bo już późno.

MARYSIA. Jaką choinkę? przecież mówiłam, że jej niema.

KAZIO (*poważnie*). Moja Marysiu, to już nie żarty.

STASIA. Ja ci już nie wierzę, bo wiem wszystko.

MARYSIA. A ja nic nie wiem.

KAZIO. Nie traćmy czasu, niedługo gwiazdy się ukazą, a mamy iść dość daleko.

MARYSIA (*śmieje się*). Z gościnnego pokoju do salonu.

STASIA (*ze śmiechem*). Widzisz, zdradziłaś się.

MARYSIA. A bo panicz tak mię podszedł niespodzianie.

KAZIO. Ani myślałem cię podchodzić, i mówię zupełnie seryo, niech Marcin bierze choinkę, a ty go prowadź.

STASIA. Tylko prędszej, moja Marysiu.

MARYSIA. Doprawdy, nic nie rozumiem, gdzie mam iść z Marcinem i tą choinką?

Skrzynka do listów.

STASIA. A, prawda, prawda, (*podając kartkę, mówi*).
Widzisz, Marysiu, pod tym adresem mieszkają dzieci, którym oddasz naszą choinkę.

MARYSIA (*czyta adres*). Czy to naprawdę? czy to nie komedia jaka? a pani czy wie o tem?

KAZIO. Ależ naturalnie! Bez wiedzy mamy nigdy nic nie robimy.

MAYYSIA. Cóż mam powiedzieć tym dzieciom?

KAZIO. Powiedz, że po wigilijnym obiedzie przyjdziemy do nich wspólnie się choinką ucieszyć.

MARYSIA. Dobrze, dobrze, idę natychmiast (*wychodzi*).

KAZIO (*do Stasi*). Więc nie żałujesz choinki?

STASIA. Nie żałuję, skoro ją zobaczą u tych pocziwych dziatka.

KAZIO. A jak ci się żal zrobi?

STASIA. Czemu tak źle mnie sądzisz.

KAZIO. Nie gniewaj się, Stasiu, żartowałem tylko, o wiem już teraz, że mam dobrą siostrzyczkę, a nie rozrymaszonego dzieciaka.

STASIA. I ty także nie gniewaj się, że tak często przeczałam się z tobą.

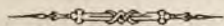
KAZIO. O tak, kochajmy się nawzajem, i pomagajcie sobie w dobrych uczynkach (*ścisną się*).

(*We drzwiach ukazują się Józia i mówi wesoło*).

JÓZIA. Brawo, brawo! Kazio i Stasia w zgodzie, toż o piękna przepowiednia na rok cały?

KAZIO. Nietylko na rok, ale na zawsze, prawda Stasiu?

STASIA. Na całe życie!



ROZWIĄZANIA DO N-ru 51.

Szarady: Słoń — ce.

Łmigłówki geograficznej:

P K W A J B B K L Z
r a i b a e o u o a
A f g a n i s t a n
g e r k o r n n r t
a r y o w a a o a e

Łmigłówki literowej:

Za króla Olbrachta
Wyginęła szlachta.

ROZWIĄZANIA DO Nr. 52.

Szarady: Ro — ra — ty.

Rebusiku: Wesolych Świąt.

Wróżbiarka Szczęścia dała nam wymowny dowód swej przyjaźni dla nas, skoro w tak serdecznem zmartwieniu, jakim Bóg ją dotknął przez chorobę ukochanej matki, pomyślała o przesłaniu nam swych życzeń. Wierz mi, droga Wróżbiarko, że współczujemy z tobą sercem całym, i proszę będziemy Boga, aby cię jaknajprędzej pocieszył zupełnym powrotem do zdrowia twej zacnej mateczki, i by Dzieciątko, spoczywające w żłobie, w wieczór wigilijny szczerze udzieliło ci swego błogosławieństwa.

Bardzo żałujemy, że prośbie **Ninki z Ożen**, nie możemy zadość uczynić, ale oprócz szarad i łmigłówek, redakcyja nie drukuje żadnych utworów swoich młodych czytelników. Wielkie to szczęście dla Ninki, iż ma tak zacnego ojca, który czułością swą i troską, o staranne jej wychowanie, zastąpić jej brak ukochanej matki; ale także szczęściem nazwać możemy, że Ninia umie to należycie wdzięcznem oceniać sercem.

Prawdziwie na wyróżnienie zasługuje pilność **Wichury** w układaniu łmigłówek i szarad, bo oto znowu odebraliśmy cały ich zbiór, dość urozmaicony, a przy wprawie jaką **Wichura** zdobyła już w tego rodzaju zadaniach, nie wątpimy, iż znajdzie się tam jedna odpowiednia do druku.

Jak we wszystkiem wprawa i zaznajomienie się z przedmiotem, ma wielkie znaczenie, to też niezawodnie **Mara** z większą odtąd łatwością odgadywać łmigłówki będzie. Przesłane rozwiązania dobre.

Własnego układu łmigłówki nadesłali: **Czarny rycerz, Orzeł karpacki, Tadzio W., Maryła, Władzio i Zygmus.** Dobre zaś rozwiązania: **Krakowiaczek śmiały, Steficia K., Smok, Anulka i Giermek.**

Dziękując ci za pamięć kochana **Zosiu J.** ślę ci w zamian życzenia, abyś wzrastała nadal szczęśliwa i na pociechę drogiej swej mateczki. I u nas dotychczas nie było mrozów, ale wczoraj bieluchny śnieg pokrył dachy domów i ulice; może więc zima na dobre się rozpocznie.

Nie wątpię, że wspomnienie o sukience dla biednego dziecka, którą z taką pilnością wykończyłaś na Gwiazdkę, droga **Sarenko z Sokół**, będzie ci zawsze miłym bo każdy spełniony dobry uczynek daje owo zadowolenie w duszy którego z niczem innym porównać nie możemy. Łamiąc przesłany mi opłatek, łączę ci w zamian życzenia błogosławieństwa Boskiego.

Przesyłkę waszą **Julciu i Stasiu L.** redakcyja odebrała i już na gwiazdkę biedne sierotki otrzymają uszyte przez was koszulki i dołączone do nich noszone sukienki, radość jaką im dar wasz sprawi, niech wam będzie podzięką i nagrodą. Z przyjemnością zaliczam was odtąd do stałych mych korespondentek, pewna, że zaznajomiwszy się bliżej, nie zabraknie nam nigdy treści do milej pogawędki. Tymczasem przyjmijcie życzenia: **Wesołych świąt i Nowego roku od przyjaznej**

Jaskółki.

Ofiary: **Zofii Sokół**, na *Biuro nędzy wyjątkowej, Iskierki z Kijowa, p. Lucyny Z. i Dzieci z Otwiernicy* dla biednych dzieci, **Guliwera na ochronę ks. Siemca:** oraz **Stefusia, Wacia i Stasia C.** na Szpitalik dziecięcy oddaliśmy wedle przeznaczenia, a pocziwym serduszkom ofiarodawców dziękujemy.

ATLANTA

czyli

PRZYGODY MŁODEGO CHŁOPCA NA WYSPIE TAJEMNICZEJ

opowiedziane w listach do Wieczorów

przez **Zofię Urbanowską.**

Ze 115 rycinami w tekście, 6-ma pięknymi ilustracyami rysunku Juliana Maszyńskiego, z ozdobnymi inicjałami i kolorową kartonowaną okładką.

Cena rs. 3.